

Maria Twardokęs

Nędza krytyki

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 6 (48), 187-191

1979

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Przechadzki

Maria Twardokęs

Nędza krytyki

Wielokrotnie ponawiane i nieodmiennie przynoszące tę samą odpowiedź doświadczenie dziecka, które próbuje przyłapać świat «na inności», podglądając go przez szpary między złożonymi rękami, odwracając się z udawaną obojętnością od rzeczy i zaskakując je nagłymi powrotami, powinno pouczyć, że świat nie ma drugiej, ukrytej przed oczyma człowieka natury. W praktyce jednak nieustannie weryfikowany wynik doświadczenia nie wszystkich zadowala. I choć zdrowy psychicznie człowiek nie ma odwagi samotnie podawać w wątpliwość jednorodności i nieuchronności świata, może uczynić to bezpiecznie w pewnych dopuszczalnych przez życie społeczne ramach, takich jak m. in. nauka czy sztuka.

Człowiek, który sięga po książkę, nie jest przecież zupełnie dorosły, lecz jest dorosły na tyle, by doświadczenie dziecka przemienić w inne, bogatsze doświadczenie czytelnika. W akcie lektury bezpiecznie może wyrazić podejrzenie, że pod powierzchnią zjawisk, jednoznacznych faktów, dogmatycznych reguł istnieją inne możliwości, a same zdarzenia mają głębszą, ukrytą przed oczami profanów warstwę, że rzeczywistość nie jest niepodważalna, lecz że mija się nieustannie z jakąś niepochwytą drugą. Potrzeba odkrywania wciąż na nowo tej podskórnej warstwy życia jest jedną z najbardziej dojmujących i niewyzbywalnych potrzeb życiowych człowieka. Jej zanik doprowadziłby do utraty wszelkich ludzkich

sensów istnienia, bez niej nie byłaby możliwa ucieczka od monotonii wahadła codziennych obowiązków i elementarnych potrzeb. Nie ginące nigdy podejrzenie (mające swe korzenie w dziecięcej potrzebie przychwycenia świata «na inności»), że pod powierzchnią zjawisk odnajdujemy sensory pełniejsze i prawdziwsze, nie tylko pozwala zmęczonym jednostkom na czasowe wycofanie się ze świata bez palenia za sobą mostów, lecz zarazem jest motorem wszelkiego ruchu ku przodowi pozwalającego odkryć nowe tereny. Aby jednak chwilowa dezercja mogła mieć miejsce, powinna istnieć podstawowa i niewytłumaczalna różnica (rozdźwięk? spięcie?), musi zostać zerwana ciągłość między obiema przestrzeniami: rzeczywistością i literacką. Ta druga nie może być bez reszty wytłumaczona prawami pierwszej. Dlatego tak chętnie dokonywane przez krytyków zacieranie różnic prowadzi do eliminacji najważniejszej spełnianej przez książkę funkcji, którą jest udzielanie czytelnikowi niezbędnego, choć chwilowego, azylu.

Czytelnik szuka w utworze wyrażenia spychanych lub tłumionych z różnych przyczyn prawd, już przeczutyh, ale jeszcze nie dających się sformułować myśli, odmiennych sytuacji, egzotycznych (niekoniecznie dalekich) światów.

I oto przychodzi krytyk, by intymną wypowiedź autora, swoistą literacką przestrzeń umieścić w płaszczyźnie zinstytucjonalizowanego świata, by czytelnikowi wybić z głowy złudzenie istnienia jakiegokolwiek niekoherencji.

Jego wywody, mające na celu wychwycenie licznych i zresztą faktycznie istniejących relacji bądź między dwiema rzeczywistościami, bądź między elementami wewnętrznego świata utworu, im są rzetelniejsze i ciekawsze, tym łatwiej odwracają naszą uwagę od zasadniczych trudności. Wyjaśnianie, wartościowanie, segregowanie doprowadzą do zatarcia wrażenia głębi. (Nie mam pretensji, że krytyk nie skacze w przepaść, lecz że jej nie dostrzega). W szumie krytycznych porównań, analiz i syntez rozmywa się trudna do wyartykułowania istota utworu.

Czy czytelnik może być wdzięczny krytykowi, skoro jak niesfornego ucznia sprowadza go z wagarów do szkoły, gdzie dręczące go tajemnice zastępuje się omawianiem problemów, które uważa za nudne i sfabrykowane jedynie po to, by go dręczyć.

Czytelnik nie oddziela (nie ma tej potrzeby) myśli od uczuć. Dzięki temu doświadcza «pełnych» wrażeń. Myśl krytyczna natomiast po-

trzebuje ośrodka, wokół którego mogłaby się krystalizować — wydobyc nad nieokreśloną wrażeniowość i przeobrazić w formę zdyscyplinowaną i obiektywnie przekazywalną. Każda jednak krystalizacja ogranicza i usztywnia myśl, bowiem dążąc do ekspresji samej siebie, do tego, by zostać zrozumianą, myśl chwytta do pomocy słowa. Więzi je w sobie, ograniczając ich znaczenie poprzez nadawanie im statusu elementów współtworzących strukturę, i więzi siebie w nich, gdyż związek kilku słów nie może wyrazić myśli w jej początkowej pełni, gdy była zaledwie reakcją na jakiś zgrzyt wyrrywający ją ze świata niejasnych sugestii i nie ujawnionych przeczuć, nie może uchwycić jej genezy ani emocji towarzyszącej jej wykluwaniu się. Myśl krytyczna poszukuje zatem «obsesyjnie pojawiającego się motywu», «dominującego obrazu», «słowa kluczowego», «podstawowej (jednej) formuły».

Niezależnie jednak od tego, z ilu stron spojrzelibyśmy na dzieło, jak gęsta byłaby siatka utkana przy pomocy owych motywów, kluczy, obrazów czy formuł, zawsze, gdy tylko minie pierwsze upojenie oryginalnością podejścia do utworu, dostrzec musimy, że to między węzłami sieci, w pustych polach dokonuje się właściwe znaczenie utworu, że tam ukrywa się cała sfera wrażeń i przejmujących doznań. Nieszczęsna «jedna formuła», dla uzasadnienia której krytyk (drogą wskazaną przez teoretyka) przywołuje setki cytatów i tłum prawdziwych autorytetów, (re)konstruuje gigantyczny aparat metodologiczny, jest może i śmiałym wezwaniem (kogo? ku czemu?) i oryginalną koncepcją, lecz i niczym więcej.

Warto ją było wypowiedzieć ot, jako ciekawostkę, lecz miast praco-chłonnnie ją uprawomocniać, może należało pozwolić jej pulsować ową piękną niedookreślonością i wieloznacznością i za żywą, drgającą podążyć dalej, do myśli następnej i jeszcze następnej. Może wówczas wrażenia nie byłyby tak niepochwytne i niedostępne słowom?

Są to jednak niebezpieczne rewiry i ostrożni krytycy (nadto ostrożni) rzadko się w nie zapuszczają, raczej subtelnie wycofują się z tej strefy niezbadanych doznań. Chorobliwie obawiając się popaść w przesadę i, nie daj Boże, egzaltację, nieustannie krępują się (kastrują) używania wyraźnie zdefiniowanych terminów. Każdą myśl zakotwiczą w jakimś pojęciu. Przy czym istnieją zarówno terminy uprzywilejowane, jak i lekceważone. Krytycy boją się nie tylko wykroczyć poza horyzont pojęciowy epoki, lecz również —

i to znacznie bardziej — lękają się naruszyć smak pojęciowy współczesności. Zgodnie z nie ustalonymi bliżej prawami mody posługują się ciągle nowymi terminami. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby nieumiejętność odnalezienia pojęcia, o które można by zaczepić pierwszą myśl o utworze, nie powodowała zbywania go milczeniem. Lecz tak jak żyjące z dala od cywilizacji plemię (przykład bliżej znany językoznawcom) «nie dostrzegło» statku stojącego w przystani, ponieważ nie знаło słowa, którym mogłoby «objąć» ów nieznany twór, tak i krytycy nie zauważają utworów, których omówienie wymagałoby użycia zdevaluowanych (nadużywanych przez poprzedników) pojęć, bezwzględnie wykreślonych z ich nieustannie rozwijającego się słownika.

Niwelując wszelkie dystanse, których tak potrzebuje krytyk, czytelnik nurza się w świecie literackim. Każde zdanie chwytą go w pułapkę, odsyła ku poprzednim, a zarazem nieuchronnym czyni marsz ku następnym. Wiąże się z nimi tak silnie i zarazem naturalnie, że nie tylko nie można nawet na chwilę się zatrzymać, lecz że nie sposób nawet otrząsnąć się. I w tej bezmyślnej lekturze jest sens i cel!

Wszystko, co przeczytaliśmy do pewnej chwili, wyraża nasze ukryte podejrzenia, lecz również wywołuje niepokój, przed którym chronimy się w zdaniu następnym. Ale to następne nie tylko go nie wycisza, lecz, przeciwnie, wzmacnia. Z uczuciem narastającego niepokoju dobiegamy (bezmyślnie! bezrefleksyjnie!) do końca. Jeszcze chwilę ślizgamy się oczami po stronie, natrafiamy na puste pola i z nich coś jeszcze chcielibyśmy wyczytać.

— No tak, to już koniec — spostrzegamy. Odczuwamy ulgę i rozczarowanie, jakby umknęło nam coś ważnego, jakby coś pozostało nie wypowiedziane. Czy te uczucia podziela krytyk? Przecież dla niego koniec jest konsekwencją tego, co go poprzedzało. Tylko my, którzy w rozpędzie mijamy metę, dostrzec możemy, że nie był to prawdziwy koniec, a jego złudzenie, że rozwiązanie jest tylko pozorne, nieproporcjonalne do narastających w utworze problemów, że ostatnie zdanie niczego nie zamyka, a wszystko otwiera. Cóż krytyk może wiedzieć o równoczesnym odczuciu bolesnej pełni i tragicznego niedosytu?

Dla niego epizod z książką kończy się w chwili, gdy ją przeczyta, recenzuje, ewentualnie posłuży jako układem odniesienia dla książek innych. Jeśli znajdzie jakieś szczególnie trafne aforystyczne

sformułowanie, postara się je zapamiętać.

W czytelniku treści książki rezonują jeszcze długo. Zdania obijają się po jego życiu, nasycają dziwnie głęboką refleksją najbardziej trywialne doświadczenia. Jak duchy nawiedzają go słowa, powodując, że nagle się zawaha, zatrzyma, zamysli. W ten sposób nie tylko jak krytyk weryfikujemy książkę życiem, ale i życie książką. Nasze przeżycia ujawniają swoją podwójną naturę. Pod warstwą zdarzeń dostrzegamy drugi nurt, którego zauważyć nie potrafiło eksperymentujące dziecko.

Jeśli jednak zbyt często przestawać będziemy z krytykami, zauważymy zdziwieni, że lektura pism literackich zastępuje (miast towarzyszyć) czytanie książek. Czytelnik prasy zaczyna podejrzewać, że prawdziwa lektura polega na rozkładaniu zdań na części, ale że nudzi go to i męczy, czynności takie pozostawia krytykom. Stopniowo staje się widzem toczonym przez nich publicznie pojedynków czy nawet meczów. Potrzeba intymnych przeżyć zostaje zastąpiona potrzebą uczestnictwa w życiu publicznym (książka jest zaledwie pretekstem). Czytelnik zaczyna utożsamiać utwór z otaczającą go błoną cudzych opinii, interpretacji, analiz. On sam nie ma weń wejścia, książka staje się tworem obcym i już nie udzielającym schronienia. Świadomość dobrego i złego znowu wyrzuciła nas z raju. Przed nami rozciąga się świat może nawet rozleglejszy niż przed lekturą, może nawet zrozumiały, ale i płaski.

Oczywiście, gdy książka zbyt daleko nas wyprowadza, by nie błędzić, potrzebujemy krytyka, gdy nie potrafimy sobie dać rady z nadmiarem sprzecznych odczuć, porządkujemy je lub zapominamy o nich w towarzystwie krytyków, gdy nie znajdujemy w sobie dość siły ani uczuć, by przeżywać książkę, usłudźni krytycy podsuną nam swoją interpretację jako produkt zastępczy. Są w końcu profesjonalistami. Nie mam więc do nich żadnych pretensji. Pretensje mam tylko do tego jednego, w którego słowach najwięcej jest prawdziwych (może tylko zręcznie symulowanych) uczuć, który lekceważąc wymyślne techniki i formalne chwytły, najpełniej wyrazić potrafi czytelniczy stosunek do dzieła, który pisze prosto, a otwiera przed nami niezgłębione przepaście książki, życia, duszy ludzkiej, który nie boi się śmieszności, którego nie dotyczy żaden z wyrażonych powyżej zarzutów i który milczy!